

Mircea Eliade

Dziennik portugalski i inne pisma Fragmenty

1941

29 maja

Jakie to smutne, gdy stwierdzasz, że wszyscy ludzie kultury i prawie wszyscy pisarze włączają do swych utworów filozofię będącą w modzie w ich czasach, i to nawet w jej najbardziej jałowych wersjach. Eça de Queiroz i wszyscy z jego pokolenia – Oliveira Martins, Teófilo Braga itd. – byli ateuszami, pozytywistami, socjalistami itd. Powieści Ecy dźwigają to bezwładne brzemień modnych wówczas filozoficznych teorii. Pio Baroja pisze, że wyznaje materializm, bo „jest to doktryna naukowo najbardziej płodna”. Przykłady można mnożyć. Wszyscy ci ludzie z rozkoszą wprowadzają do swych dzieł nietrwałe elementy teoretyczne. Rzeczywiście, odkąd nauka się upowszechniła, zaczęła się moda na zapożyczanie przez sztuki uniwersów, w jakich obracają się współcześni im naukowcy, albo, co gorsza, po prostu nieweryfikowalnych wniosków z przesłanek i metod zasadnych (ważnych) przez okres jednego pokolenia. Tak było z pozytywizmem, materializmem, medycyną o nastawieniu fizjologicznym itd.

Jak osobliwie wygląda na tym tle Goethe, który zbuntował się przeciwko nauce swojego stulecia! Albo Dostojewski, albo nawet Tołstoj, który w apogeum pozytywizmu odważył się odkrywać na powrót Ewangelie.

[...]

22 czerwca

Byłem na plaży w Guincho, gdy Nina przyniosła mi wiadomość o naszym wejściu do wojny przeciwko Sowieckiej Rosji. Z początku usłyszeliśmy tylko o nas

* *Jurnalul portughez și alte scrieri*, t. I, II, Humanitas, București 2006.

i o Finach, i przestraszyliśmy się; wierzyliśmy, że Niemcy będą nam pomagać, ale nie otwarcie. Później dowiedzieliśmy się prawdy: Rzesza walczy rzeczywiście, a my jesteśmy tylko częścią prawej flanki niemieckiej.

Przyznaję, że nie spodziewałem się tej wojny w 1941. Sądziłem, że tak zwana współpraca rosyjsko-niemiecka jeszcze potrwa, ale to, co się stało, znaczy, że Niemcy zrozumieli, iż nie wygrają tej wojny jeszcze w tym roku, i przygotowują się do długich zmagania.

Według mnie ten atak jest oznaką słabości Niemiec. Otóż gdyby mieli pewność, że w tym roku zmiażdżą Anglię, nie potrzebowaliby atakować Rosji; po ostatecznym zwycięstwie Niemiec Sowietów zrobiliby wszystko, czego by od nich zażądał Hitler. Zanim przeczytałem przemówienie Churchilla i wypowiedzi Amerykanów, miałem nadzieję (co prawda bardzo słabą), że może za plecami Rosjan uda się zawrzeć jakiś kompromisowy pokój. Ale widzę, że mój imperialista z Londynu wrzeszczy, że Rosjanie walczą o wolność i trzeba im pomóc w ich zmaganiach z hitlerowskimi najeźdźcami. Jakże i tym razem komiczna mi się wydaje moralność tej brytyjskiej wojny! Nie mówisz słowa, gdy Sowietów zagarniają Besarabię, kraje bałtyckie, połowę Polski, część Finlandii – a wrzeszczysz o Gdański Korytarz, teraz zaś w imię demokracji, wolności i chrześcijaństwa pomagasz Stalinowi...

4 sierpnia

Mnóstwo czasu zmarnowanego na tę głupią „obsługę prasową i propagandę”. Co prawda udało mi się w ciągu pięciu miesięcy osiągnąć to, że w gazetach piszą o Rumunii. Ale co to ma za znaczenie? Rzeczy efemeryczne, bez dalszego ciągu. Przekłady utworów Eminescu i Camõesa więcej by zdziałały dla wzajemnego poznania się naszych krajów niż wszystkie depesze agencji prasowych. Tęgo jednak nikt nie może pojąć.

W ostatnich tygodniach mało pracowałem nad powieścią. Nie mam czasu. Patrz notatki w dzienniku poświęconym powieści.

12 sierpnia

We wtorkowe wieczory zawsze odbywa się *whisky-party* u Bolasco, nowego *attaché* prasowego Włoch, który ma śliczną willę w Monte-Estóril. Chadzam tam regularnie. Spotykam interesujących ludzi. No i mój obecny zawód – bieganie za informacjami...

Zbiera się tam prawie całe włoskie poselstwo. Zaprzyjaźniam się z synem Giovanniego Gentile, drugim sekretarzem poselstwa; na imię ma Benedetto. Urodził się w okresie przyjaźni Gentilego z Crocem.

Właśnie od tego chcę zacząć niniejszą notatkę. Chłopak opowiada mi mnóstwo szczegółów o życiu Crocego i jego przyjaźni z Gentilem. A oto coś bar-

dzo ciekawego: jakieś trzydzieści, czterdzieści lat temu Croce miał przyjaciółkę, kobietę piękną i pełną życia, która mieszkała u niego – była neapolitanką, jak on – i którą wszyscy nazywali Donna Angelina. Nawet rodzina Gentilego nie знаła jej nazwiska, więc gdy trzeba ją było przedstawić znajomym, mówili po prostu Donna Angelina. Croce był szczęśliwy, kochał ją, a ona wносиła świeżość w jego życie. Kiedy umarła, gdzieś około 1910, Croce był przez jakiś czas zupełnie zdruzgotany. Ale w kilka lat później ożenił się ze swoją aktualną żoną, niewia-
stą sztywną, surową, prawdziwą *bas-bleu*. Nowa towarzyszką zupełnie odmieniła jego życia. Croce ochłódl i oddalił się od dawnych przyjaciół. Z czasem stał się nieużyty, obrażalski, atakował wszystkich, bo nikt mu się nie podobał i każdemu wynajdywał jakieś wady. To wszystko nastąpiło po pierwszej wojnie światowej.

Tak Benedetto Gentile tłumaczy oziębienie stosunków między swoim ojcem i Crocem oraz nieprzemakalność Crocego na faszyzm, w którym przecież mógłby odnaleźć tyle własnych idei (na przykład wrogość wobec materializmu historycznego, antypozytywizm itd.).

2 września

Sytuacja polityczna w Europie lat 1930–1940 bardzo pomogła zbliżyć się nawzajem ludziom o bardzo odmiennych umysłowościach, dotąd pozostającym w konflikcie albo całkowicie zamkniętym wzajem na siebie. Myślę na przykład o Jacques'u Maritain, który – skutkiem tego, że ma żonę Żydówkę i że przyjął określoną postawę wobec komunizmu oraz hiszpańskiej wojny domowej – musiał w ostatnich latach złagodzić swe wrogie nastawienie wobec pewnych ludzi (Bergson, Lévy-Bruhl, Gide). Myślę także, że Gide wskutek swej konwersji na komunizm zbliżył się do grupy katolików, wobec których zawsze zachowywał pewną rezerwę: do Maritaina, Mauriaka, Benjamina itd.

Dziś widzę, jak portugalscy katolicy zaczynają bronić komunizmu tylko dlatego, że Hitler walczy z Rosją.

8 listopada

Bardzo wolno idzie mi redagowanie zapisków z podróży. Czytam mnóstwo o monarchii i republice, żeby zgromadzić materiał do książki o Salazarze. Tylko w tym tygodniu przeczytałem około 600 stron dzieł historycznych i pamiętników, nie licząc książki Ferro, którą przeczytałem ponownie, i pięciu przemówień Salazara, które opatrzyłem uwagami.

11 grudnia

Nie ma granic moja zdolność rozumienia i wczuwania się we wszystkie możliwe formy kultury. Gdybym mógł wyrazić bodaj setną część tego, co myślę i co wiem w sposób odmienny, niż wiedzą to inni! Nie sądzę, by kiedykolwiek istniał

geniusz równie bogaty i złożony; w każdym razie moje horyzonty intelektualne są o wiele rozleglejsze niż u Goethego. Na przykład uświadamiam sobie raptem, że mógłbym z łatwością napisać książkę o XIX-wiecznej poezji portugalskiej. Nie jestem erudytą – albo inaczej: nie jestem wyłącznie erudytą. Niewątpliwie ktoś inny lepiej ode mnie zna historię poezji portugalskiej w wieku XIX. Ale jestem pewien, że ja rozumiem ją i czuję głębiej, oryginalnie i bardziej systemowo.

1942

6 maja

Jakkolwiek jednak stawiałbym problem, nie mogę prześliznąć się nad tym oto prostym, podstawowym i bezpośrednim faktem: że jestem śmiertelny, że mogę umrzeć *kiedykolwiek*, przegrywając w ten sposób kartę zbawienia. Rzecz ma się tak: cokolwiek bym sądził o życiu pośmiertnym, ono istnieje; jeśli przyjmuję wiarę i naukę chrześcijańską, muszę przynajmniej spróbować zrobić *coś*, żeby się zbawić, muszę pożałować przynajmniej niektórych spośród moich grzechów. Jeśli przyjmę dogmat okultystyczny (metafizyczny), też muszę spróbować coś zrobić, nie mogę w nieskończoność żyć tak, jak żyję od kilku lat – książkami, erotyką, pisaniem i bierną kontemplacją. Obie drogi, jakie znam, zagradzają mi moje lenistwo, moje grzechy i moje znerwicowanie. A mimo to wszystko nie ma dnia, bym przynajmniej przez chwilę nie uświadamiał sobie wyraźnie, iż mogę umrzeć choćby *teraz*, zapuszczając się na owo morze po drugiej stronie bez żadnego solidnego technicznego wyposażenia.

Z punktu widzenia świeckiego równie żałosna jest moja sytuacja jako pisarza i filozofa. Choć dostępne mi są koncepcje i pojęcia najwyższe, nie napisałem niczego filozoficznego. Choć mam talent epicki, niczego jeszcze nie ukończyłem.

17 maja

[...]

Mój brak zainteresowania socjologią, marksizmem itd. bierze się z mojej wielokrotnej konstatacji, iż te dyscypliny dają nam złudzenie całościowego wyjaśnienia historii, podczas gdy uwzględniają one tylko ludzką tłuszczę. Nie wątpię, że motywy zachowań tysięcy ludzi biernych i nietwórczych są wyłącznie ekonomiczne, ale tak samo można powiedzieć, że te zachowania są biologiczne bądź fizyczne, jak przedmiotów podlegających prawu ciężenia.

Wszelako człowiek wybrany – a każdy może stać się człowiekiem *wybranym*, gdy przepaja go duch – porusza się na innym poziomie. W gruncie rzeczy nie dowiaduję się niczego o rzeczywistym człowieku, gdy poznaję prawa ekonomiczne zmuszające go do bytowania jako proletariusz czy do krytyki własnej sytuacji społecznej. O rzeczywistym człowieku najważniejszych rzeczy dowiaduję się,

obserwując jego reakcję wobec ducha, jego zachowanie wobec śmierci i miłości; oto prawdziwy obiekt badań. Człowiek wybrany – czy to będzie Goethe, czy też zwykły śmiertelnik w owej wzniosłej chwili, gdy jest zakochany. Oczywiście że człowiek jest częścią społeczeństwa i podlega jego prawom historycznym. Ale jako istota złożona z narządów jest bytem biologicznym, jako składający się z molekuł jest bytem fizycznym, itd.

28 maja

Po dwóch dniach strasznej duchowej posuchy, melancholii graniczącej wręcz z nihilizmem – czuję, że zaczynam jakby odzyskiwać równowagę. Tej nocy siedziałem w barze aż do czwartej. Wracałem do domu pieszo, szedłem prawie godzinę. Księżyc zachodził. Myślałem sobie, że istotnie Budda znalazł jedyny prawdziwy sposób wyjścia z bolesności, ucieczki z trwania. Jedyłą dla człowieka możliwością ucieczki od cierpienia, żalów, melancholii, poczucia, że się straciło jakieś okazje itd. – jest nieprzywiązywanie się.

Jak dobrze rozumiałem to wszystko już jako chłopiec! Bo i czymże innym była moja walka ze wspomnieniami czy moje techniki (niektóre z nich o charakterze ascetycznym), jakich imiałem się, mając piętnaście, szesnaście lat – jeśli nie próbami życia w sposób autonomiczny, bez trupów w duszy, bez obiektów dla namietności... Wszystko, co w „Cuvântul” napisałem przeciwko „medelenizmowi” czy rozmaitym „mołdawianizmom”, miało głównie cel terapeutyczny: chciałem samego siebie uleczyć ze straszliwej melancholii, w jakiej upłynął mi okres dorastania. W Indiach znów odnalazłem ów bodziec do wyrzeczenia. Z jakim trudem pozbierałem się po utracie Majtreji! Ale wszystko mija i przeminął również ten płomień, w którym, jak mi się zdawało, odnajdę cały żar mojego jestestwa.

Myślałem sobie, powracając przy księżycu do domu, że tym, co obecnie w moim życiu nieodwracalne – jest Nina. Nie uda się zapomnieć dziewięciu, dziesięciu lat przeżytych wspólnie. Mogę zdradzać Ninę, ale po dwóch tygodniach czuję, że nie mogę bez niej żyć. Kryzysy nerwowe, jakie dopadły mnie u jej boku, z chwilą jej wyjazdu przekształcają się w napady melancholii. O świcie doszedłem do wniosku, że nic już na to nie poradzę.

A teraz czuję, że nadchodzi równowaga. Nawet książka o Salazarze – do której nigdy nie miałem serca – interesuje mnie. Moja mołdawska krew już się zmęczyła. Teraz niech zacznie się we mnie burzyć krew wołoska.

6 czerwca

5:30 rano. Bezbrzeżna monotonia wyuzdania.

Nic już na to nie poradzę.

Lipiec, Bukareszt

W Bukareszcie naszej wojny nie widać. Prawie nikt – oprócz legionistów – nie zdaje sobie sprawy, co nas czeka w wypadku zwycięstwa anglo-rosyjskiego. Zaczynam czuć trwogę przed przyszłością, gdyż jeśli przegramy, zginiemy jako państwo i jako naród.

Zauważam, że jestem o wiele mniej nerwowy w kraju, niż tego lata w Portugalii.

Za to bardzo szybko się męczę. Po kilku godzinach rozmowy z przyjaciółmi czuję się zupełnie wypompowany. Późnym wieczorem walę się z nóg, tak jestem senny. Co prawda jestem okropnie zabiegany, każdego ranka i po południu muszę być w ministerstwie.

Berlin

Dziś Goruneanu wiezie mnie do Carla Schmitta, który od dawna bardzo jest ciekaw filozofii Nae Ionesco. Dom w Dahlem, umeblowany bardzo nie po niemiecku, kilka nowoczesnych obrazów i biblioteka zasobna w stare książki. Carl Schmitt jest małego wzrostu, niepokąźny, ale twarz ma promienną i uduchowioną. Biegle mówi po francusku. Mówię mu, że z jego dzieł znam tylko *Die romantische Politik*, które tak mocno oddziało na Nae Ionesco, Ufę i innych. Zamiast jednak rozpocząć dyskusję o Nae, pyta mnie o Salazara, o Portugalię i cywilizacje morskie – i gadamy tak trzy godziny. On pisze książkę o „ziemi i morzu”, więc naczytał się mnóstwo o sztuce, kulturze i symbolice akwaticznej. Stwierdza, że *Moby Dick* to po *Odysei* największe dzieło o inspiracji morskiej. Pokazuje mi parę ciekawych obrazów współczesnego malarza niemieckiego, którego nazwisko od razu zapominam; są to wizje podmerskie, kosmologiczne.

Ponieważ sam od wielu lat badam podobne problemy (*Mātrāgūṇa*), daję się wciągnąć w interpretacje symboli i mitów austroazjatyckich, które też go interesują. Obiecuję mu wysłać „Zalmoxisa” II, w którym opublikowałem *Notes sur le symbolisme aquatique*. Imponuje mi u Schmitta jego odwaga metafizyczna, nonkonformizm, rozległość wizji. Przypomina mi w tym Nae. Częstoje nas kieliszkiem wina reńskiego. Bardzo się cieszy z naszego spotkania i żałuje, że jutro wyjeżdżam do Madrytu. Mówi, że człowiekiem najbardziej obecnie interesującym jest René Guénon.

3 września

Dziś w „Acção” ukazuje się mój drugi obszerny artykuł: „Camões e Eminescu”. Cała kolumna. Kawalek porządnej propagandy, jeden z niewielu, jakie dane mi było zrobić. Natychmiast zabieram się do trzeciego artykułu: „Vida e obra de Mihai Eminescu”. Choć piszę go z uwagą, przytapię się na jednej obsesyjnej myśli: jak najszybciej go skończyć, żeby jak najszybciej się ukazał, abyśmy my, Rumuni, byli obecni w portugalskiej prasie!

Jakże mnie przygniata ten kompleks niższości pomniejszej kultury, zmuszonej zabiegać o uznanie wszelkimi możliwymi sposobami i jak najszybciej. Jakże szczęśliwi są Francuzi czy Anglicy, którym nie zależy na tym, aby być znanymi, lecz tylko na dobrym zrozumieniu przez innych.

5 września

Moją życiową tragedię można w gruncie rzeczy sprowadzić do następującego stwierdzenia: jestem poganinem, klasycznym, pełną gębą poganinem, który usiłuje się schrystianizować. Dla mnie rytmy kosmiczne, symbole, znaki, magia, erotyka – istnieją o wiele silniej i bardziej „bezpośrednio” niż problem zbawienia. Jednakże najpokaźniejszą część siebie samego poświęciłem temu właśnie problemowi – i nie postąpiłem ani kroku do przodu.

15 września

Nagły napad melancholii.

O jedynej rzeczy naprawdę ważnej – o tym, żeś śmiertelny i czekam na śmierć – zapominam. Trwonię czas na idiotyczną pracę w poselstwie i na bezsensowne studia.

Przeżywamy kosmiczną katastrofę: taki jest jedyny sens wojny. Muszę spojrzeć na nią tak, jak moi praprzodkowie patrzyli na suszę, trzęsienie ziemi, zarazę. Nic nie można zrobić. Trzeba czekać – i gotować się na śmierć, modląc się, jednając z bliźnimi. Każda inna postawa jest śmieszna.

Tylko przy okazji takich kryzysów uświadamiam sobie tragedię mego życia: wszystko postawiłem na kulturę, na sztukę i twórczość – a wszystko to jest daremne na płaszczyźnie metafizycznej i absurdałne w momencie dziejowym, jaki właśnie przeżywamy.

23 września

Znów owłada mną odczucie daremności wszelkiego wysiłku. Prawda jest taka, że moje usiłowania jakiegoś urzeczywistnienia się w kulturze nie mają absolutnie żadnego sensu. Wiem aż nazbyt dobrze, że jestem świadkiem końca pewnego cyklu dziejowego i że nie potrafię znaleźć miejsca dla siebie w rajskim chaosie, jaki potem nastąpi. Zresztą nie pozwolono by mi na to. Nowy, anglo-sowiecki świat nie przyjmie do siebie ludzi takich jak ja. Ale nie chodzi o mój osobisty los. Byłoby mi obojętne, czy będę żył, czy nie, czy mnie rozstrzelają komuniści, czy też nie (równie dobrze mógłbym zostać rozstrzelany przez Karola i Armanda Călinescu, albo nawet przez generała Antonescu). Nie tym się przejmuję. Owszem, umierać ze świadomością, że świat, który opuszczasz, będzie kontynuował i rozwijał twoje myśli, że umierasz sensownie – to umierać w sposób, jakiego zawsze pragnąłem. Wstrząsa mną jednak nicość, którą widzę przed sobą: załamanie się

cywilizacji łacińsko-chrześcijańskiej pod tak zwaną dyktaturą proletariatu, która jest w istocie dyktaturą najobrzydliwszych żywiołów słowiańskich.

Jeśli zaś taka jest prawda (bo chcą tego i Churchill, i Roosevelt, a przecież to oni obecnie mają siłę), to jaki sens ma tworzenie w historii, w kulturze? Tylko dwie postawy można jeszcze jakoś usprawiedliwić: mistykę i orgię, wiarę w świętość i cyniczne rozkiełznanie w rozkoszy. A wówczas uświadamiasz sobie, jak próżne były tyłowiekowe ofiary na rzecz rumuńskości.

Moja religijność:

Bardzo rzadko odczuwam potrzebę *obecności* Boga. Nie modłę się i nawet nie umiem się modlić. Gdy wchodzę do kościoła, czynię wysiłek, żeby się modlić. Ale chyba mi się to nie udaje.

Często jednak miewam kryzysy religijne: chciałbym się odosobnić, poświęcić kontemplacji z dala od świata. Rozpacz. Pragnienie (i nadzieja) ascezy.

Element stały: namiętność do obiektywnych, wiecznych form religii – do symbolu, obrzędu, mitu. Myślę, że moje powołanie religijne na tej właśnie drodze się realizuje: poprzez ukazywanie praktycznej wagi rzeczy uznawanych za martwe. Na przykład dla mnie spirala czy też „drzewo życia” są tak samo pełne świętości jak ikona. Znalazłem już klucz do metafizycznych formuł religijności. „Przeżywam” te formuły, z pozoru suche i sztywne.

Jakże niedoskonałe i fragmentaryczne wydaje mi się wszystko to, co opublikowałem.

Bardzo wiele rzeczy nieinteresujących z punktu widzenia „doktryny”, lecz sensacyjnych pod względem biograficznym. Porywam się na rzecz wielką: na nową syntezę kultury powszechnej. Jestem jednym z nielicznych obecnie ludzi, którzy mają dostęp do osnutych mrokiem symboli i mitów, do duchowych sensów życia już od dawna przebrzmiałych w mentalnej ewolucji ludzkości. A ponadto: doświadczenie codzienności (którego nie mają kontemplacyści), namiętność (przyrodzoną Europejczykowi) do tego, co chwilowe i nieznaczące, zmysł historyczny (nieznany na Wschodzie), egocentryzm wielkich desperatów (w typie Kierkegaarda), itd., itp. I jeszcze: miłość do fabuły, dziennikarstwo, eseistyka. Do tego trzeba dodać wielką powagę wobec faktu, szacunek dla dokumentu itd.

Madryt

Chryścianizm – mam nadzieję wykazać to kiedyś szczegółowo w specjalnej pracy – „ocalił” prastarą tradycję, nadając sens duchowy (chrześcijański) niezliczonym

praktykom i doktrynom pogańskim, scalając ów ocean fragmentów w nową duchową jedność. Czegoś podobnego – przynajmniej w zamierzeniu, choć może nie pod względem zakroju i prawomocności – próbuje też współczesna kultura europejska, która przejęła XIX-wieczny historycyzm i mozolnie się trudzi, aby wydobyć sens i odkryć ostateczne, metafizyczne znaczenie (w najgorszym razie „kulturalne”) wszystkich epok dziejów powszechnych, wszystkich ludzkich doświadczeń, od ludowych przesądów po umeblowanie i sport. Czym była „sztuka” w czasach [Johanna Joachima] Winckelmanna, a czym jest dla nowoczesnej estetyki? Jakże ogromne jest pole dociekań nad sztuką! Nawet „najbrzydsze” zabytki z dziejów sztuki (rokoko itd.) odnajdują dziś swe sensy i wartości duchowe. A od sztuki łatwo już przejść do historii i filozofii kultury, do etnografii i psychologii.

Wydarzenia w Afryce Północnej (rozbiecie oddziałów Rommla, desanty Anglików i Amerykanów) wzburzyły mnie niebywale między 6 i 8 listopada. Bezsenność, koszmary, przynębienie. Widziałem to wszystko, jak zwykle, poprzez odniesienie do mojego kraju; mówiłem sobie, że wycofywane spod Stalingradu i posyłane do Francji dywizje niemieckie będą zastępowane rumuńskimi; że tak czy owak bystremu Rumunowi nie może być na rękę rozbiecie Osi *teraz*, gdy nasza armia stoi nad Wołgą, itd. (Nie muszę dodawać, że całe nasze poselstwo w Madrycie, jak zresztą w Lizbonie, nie posiada się z radości...).

I oto dziś rano, zupełnie nie pojmując dlaczego, zbudziłem się uspokojony, oderwany od wszystkich tych wydarzeń, bez cienia lęku. Znów zainteresowanie studiami, filozofią. Może to zwykle wahnięcie w drugą stronę, odnalezienie duchowej równowagi mocą naprzemienności. Albo może niejasne przecucie, że rzeczy nie mają się aż tak tragicznie...

19 listopada

Podczas dyskusji z ludźmi o nastawieniu probrytyjskim, cieszącymi się ewentualnym zwycięstwem nad Niemcami, złości mnie to, że pod wpływem swej politycznej namiętności zapominają o fakcie w tej wojnie decydującym: o tym, że Rosja aktywnie wkacza w historię światową. Za dawnych czasów tak samo łacinnicy z Grekami bili się o Konstantynopol, a tymczasem Turcy budowali przyczółki w Europie. Potem przez trzysta lat my, Rumuni, nadal musieliśmy się wykrwawiać, żeby Turcy nie dosięgli serca Europy. Nie wiem, czy tym razem historia się powtórzy.

22 listopada

Już od lat pracuję, nie mając wokół siebie żadnej osoby wyjątkowej, która by mnie stymulowała. Mam znakomitych przyjaciół, ale stosunki z nimi nie pobu-

dają mnie intelektualnie. Nie mam w pobliżu siebie nikogo, kto by dawał mi bodźce, kto by mnie sprawdzał, utwierdzał w tym, co robię, albo mi tego gratulował. Jestem pewien, że byłbym o wiele wydajniejszy, gdybym ściślejsze kontakty utrzymywał z Noiką i Cioranem. Ale nasze spotkania upływają na dyskusjach o polityce, na opowiadaniu anegdot i dowcipów.

No i już od prawie trzech lat obracam się w środowisku dyplomatycznym, gdzie w najlepszym wypadku spotykam ludzi rozumiejących to, co mówię. Do tego trzeba dodać moją bezgraniczną skromność, każącą mi sprowadzać rozmowę na poziom nieistotnych banałów, żeby nie wywoływać u innych kompleksów niższości.

21 grudnia

Ja też mogę oznajmić, że nie ma takiego osobistego bólu, którego bym nie potrafił zresorbować w kilka godzin, ani takiej tragedii – dotyczącej tylko mnie samego – z którą nie uporałbym się w ciągu paru dni. Ale tym, czego nie mogę zaakceptować, czego nie mogę zasymilować, jest tragedia mojego narodu. Na myśl, że państwo i naród rumuński mogą zginąć za sprawą Rosjan i z powodu wściekłej głupoty takiego Churchilla czy Roosevelta – dostaję szału. Ten rumuński los jest głównym źródłem mojej rozpacz.

23 grudnia

Pośród moich „wielkich” książek będzie też to *Wprowadzenie do historii religii*, o którym myślę od jakichś dwóch lat i które zacząłem już w Oksfordzie. Wyjątkowość tej książki polega na moim całkowicie osobistym – „osobistym” w zestawieniu z kryteriami współczesnymi, ale archaicznym i uprawnionym mającymi wiele tysięcy lat dziejami religii – podejściu do mistyki i doświadczenia religijnego. Sam nie mieszkam normalnych przeżyć religijnych, nie jestem też agnostykiem ani wrogiem religii. Dla mnie, podobnie jak dla Hindusa, Greka, człowieka pierwotnego czy średniowiecznego, religia *jest*. Obecności boskiej zaznam tylko w niektórych momentach rozpacz, jednak przez całą resztę czasu stwierdzam tę obecność w każdym ludzkim akcie. Dobitniej: dla mnie religia jest pragnieniem intuicyjnego wglądu w *rzeczywistość*, absolut. Odnajduję to pragnienie w każdym znaczącym dokonaniu człowieka, we wszystkich epokach.

Dlatego *Wprowadzenie*, które napiszę, będzie miało znaczenie przełomowe, gdyż wykażę w nim stałą obecność tak zwanej „metafizyki” w prastarych gestach i obrzędach; odnajduję Sokratesa czy Platona co najmniej z dziesięć razy na płaszczyźnie religijnej.

26 grudnia

W cudownej edycji *Ensayos* Unamuna (Aguilar, dwa tęgie tomy), którą teraz czytam, znajduję liczne fragmenty jego korespondencji. Niektóre wypadłyby

podkreślić i przepisać. Oprócz mnóstwa ciekawych obserwacji uderza mnie też motyw przewodni korespondencji Unamuna: otóż hiszpańscy literaci czytają wyłącznie literaturę, dlatego ich twórczość jest tak przeciętna. Unamuno zaleca, poza literaturą, wszystko inne, cokolwiek: naukę, filozofię, życie. Sam woli powrócić do „swojego Hegla” i do „swojego Schleiermachera”, niż czytać modne francuskie powieści. Literatura powinna integrować; oto jego formuła.

Taką samą postawę sam zawsze kultywowałem na gruncie rumuńskim. Przeciwno lekturom wąsko literackim. A za doświadczeniami zapomnianymi bądź ukierunkowanym wysiłkiem kulturalnym (nauka, erudycja, filozofia). Unamuno, podobnie jak ja, wymienia przykład Goethego. Ta postać jest moją obsesją od dwudziestu lat. Nauka nie zniekształciła jego inspiracji poetyckiej, mówi Unamuno, przeciwnie, oczyściła ją.

27 grudnia

Goruneanu pisze mi z Berlina, że w drodze na front rosyjski Ernst Jünger zatrzymał się na dwa dni u Carla Schmitta i „głęboko poruszony” czytał *Zalmoksis*, robiąc mnóstwo notatek. Schmitt przesyła mi swoją niewielką książkę *Land und Meer*, o której mówił mi tego lata, z następującą dedykacją: *Mircea Eliade, als kleine Gegengabe für seiner Grossem Zalmoksis* [Mircei Eliademu ten drobny upominek za jego wielkiego *Zalmoksis*].

Zanotowałem to, ponieważ raz jeszcze potwierdza się mój pogląd na „propagandę” rumuńską. Nigdy nie wierzyłem w propagandę dziennikarską. Gdyby nasze pisma kulturalne i prace względnie wartościowe ukazywały się *wprost* w innych językach, publikowane w dużych ośrodkach uniwersyteckich, myślę, że zajmowałybyśmy dziś pozycję obok Finlandii, Norwegii i Danii.

1943

4 stycznia

Powraca rozpacz z ubiegłego roku. Ale nie wiąże się ona z jakimś przeżyciem osobistym czy też moją sytuacją we wszechświecie, lecz wynika z rozmyślań nad przebiegiem wojny. Wszystko wydaje mi się niepotrzebne i absurdatne, jeśliby ceną za powstanie nowego świata miało być zniknięcie Rumunii jako państwa i narodu. Nie interesuje mnie żaden ziemski raj (w który zresztą nie wierzę), urzeczywistniony dzięki ofierze z mojego narodu.

Nigdy bym nie uwierzył, że popadnę w metafizyczną rozpacz, wychodząc od polityki i uczuć narodowych.

6 stycznia

Niekiedy czuję strach, widząc, jak mocno i głęboko rozumiem rzeczywistość *post mortem*. Niemal się boję o tym mówić, nie znajduję słów. *Widzę* rzeczy, do

których dostęp mają w tych czasach tylko bardzo nieliczni, przenikliwie widzący ludzie. To, co dzieje się po śmierci, w pewnym sensie jest mi znane. Szczególnie nęka mnie obraz, którego absolutnie nie potrafię opisać i dzięki któremu odgadłem, w jaki sposób dusze ludzi dawno już zmarłych „odpoczywają”, stapiając się z praprzodkami, z archetypami.

14 stycznia

Jak bardzo w sensie strukturalnym jestem „orientalny” i antymistyczny, widzę – uświadamiając sobie także swój wstręt wobec wszelkiego cierpienia i patetyczności.

Jestem *par excellence* kontemplatykiem i istotą racjonalną. Lubię śledzić dialektykę idei albo znaczenia symboli. Metafizyk z powołania. Lęk przed życiem w uczuciowym napięciu. Lubię kochać, ale potrząsa mną patos kochanków, męka rozstań. Antyliryczny. Uwielbiam rzeczy stabilne, rozległe horyzonty. Moja skłonność do przygody nie ma nic wspólnego z patosem; lubię grę, odprężenie, zaskoczenie, ale nic z tego, co jęczy, krwawi, przywiązuje się. Źródła mojej rozpaczki zawsze są pozaosobowe.

29 stycznia

Czuję aż do paroksyzmu agonię tych pod Stalingradem, agonię Europy. Żeby zaś móc znieść jakoś tę tragedię, uciekam w siebie, w książkę, którą piszę, w moje stare rozmyślenia o końcu naszego kontynentu. Przepędziłem wojnę z tego zeszytu, żeby nie popaść w jakąś neurastenię. Żywię się wyłącznie witaminami i środkami uspokajającymi, a zasypiam tylko dzięki pasiflorinie i adelinie. A z tego piekła słyszę, jak Ajschylos przewraca się w grobie. On, który opiewał bohaterski opór Greków wobec Azji, teraz jest świadkiem ustępowania Europy przed euroazjatyckimi hordami. Churchill i Roosevelt znowu spotkali się w Casablance. I nikt z ich otoczenia nie widzi, jak Stalin ich kiwa, jak stają się ofiarami najtragiczniejszej farsy w dziejach świata: czerwoni mordercy – którzy nad innymi politycznymi mordercami mają tę przewagę, że działają na wielką skalę, od milionów w górę – czerwoni mordercy oczekiwani są jako wyzwoliciele Europy.

5 lutego

Wspaniały dzień. Niebo intensywnie lazurowe, płynne, jakiego po okresie wiosennym nad Lizboną już nie widać; słońce praży, powietrze czyste, jeszcze ascetyczne, bez nazbyt mocnych zapachów roślinnych. W parku Edwarda VII zakwitły pierwsze krzewy.

Początek wiosny. Nie potrafię się cieszyć, ale jestem bardziej pogodzony z losem moim i całego kontynentu. W tej bądź innej formie życie zawsze triumfuje, scala wszystko na nowo. Miliony trupów gnijących w Rosji, dziesiątki milionów, którymi pokryje się cała Europa w nadchodzących latach – są może po prostu

ofiarami koniecznymi do zachowania kosmicznej równowagi, z której my, biedacy, nie zdajemy sobie sprawy. Może ludzie zanadto się rozmnożyli i każda katastrofa jest dobra, by zredukować ich liczbę. Dokładnie tak, jak w cejlońskich dżunglach gniją miliardy roślinnych pędów, zduszonych własną masą, po to, by zapewnić trwanie „całości”, lasu.

Nigdy nie byłem bardziej pesymistyczny niż teraz. Ale nie chcę utracić zdrowego rozsądku. Otóż ten fenomen wiosny trzeba, jak każdy rytm kosmiczny, osądzać takim, jakim w rzeczywistości jest. Wystarczy ten osąd doprowadzić do końca, by zrozumieć, jak obojętny – widziany z góry – jest nasz los, los kultur i kontynentów. Jakże efemeryczne są te formy, rodzące się bezustannie, żeby zająć jakąś przestrzeń, tchnąć w nią ducha, nasycić barwami! Z jak wielką przenikliwością widzą te sprawy, a zresztą wiele innych, Hindusi!

Czy więc wszystkie te historyczne byty nie mają żadnego sensu, żadnej zasadności?! Nie mogę w to uwierzyć, nawet w moich napadach nihilizmu. Poezja, metafizyka, mistyka – wszystko to jest powszechne, wieczne i ważne. Ale wszystko to musi zostać oczyszczone z historycznej przygodności, jeśli ma nam naprawdę pomagać. Trzeba te rzeczy przeżywać osobno, same w sobie; obecnie trudno mi się na to zdobyć. (Jak szczęśliwy byłem w Indiach).

7 lutego

Jedynie radości, do jakich jeszcze jestem zdolny, mają charakter całkowicie marginesowy. Potrafię się cieszyć, otrzymując jakąś książkę etnograficzną czy też znajdując w księgarni coś, co mnie interesuje. Ale radość nie trwa długo. Kilka godzin lektury – i już się wyczerpała.

Nieraz, gdy jestem w gronie przyjaciół, zaczynam z entuzjazmem opowiadać o czymś – o czymkolwiek. Jeśli osądzają mnie według tego, jaki się wówczas wydaję w tych narkotycznych momentach, popełniam błąd. To takie moje drobne eskapady w dziedzinę życia, społeczną. Przez resztę czasu jestem mizantropem, zmagającym się z rozpaczą i metafizyką.

Okrutny smutek. Piszę, żeby jakoś przetrwać, żeby nie myśleć więcej, nie czuć. Biedny mój Spiridon, ciągle jeszcze do czegoś się przydaje!

13 maja

Odkąd powróciłem do Lizbony, mógłbym co dnia pisać jedno i to samo słowo: Melancholia. Zero pracy. A noce trwonię aż do 3., 4. nad ranem, żeby jakoś odzyskać równowagę.

Jest za gorąco. Nieoczekiwanie szybko przyszło lato. Dopiero po północy powietrze się ochładza.

Ciągle myślę o jednej rzeczy: że mógłbym umrzeć, a po raz pierwszy wątpię o rzeczywistości *post mortem*. A jeśli jest nicość, wyłącznie unicestwienie?

W takim razie po co było to wszystko, co się wydarzyło? Nic na tym świecie nie ma sensu, jeśli *po drugiej stronie* nie ma niczego.

I znowu melancholia na myśl o życiu, które przeszło. Kiedy przeszło?

Nie mogę uwierzyć, że w 1947 będę miał czterdzieści lat. Jeszcze parę lat wstecz uważałem się za tak młodego, że nieraz mówiłem sobie: „gdy będę duży, zrobię to i to...”. Wtedy też mówiłem sobie, że „mężczyzna czterdziestoletni przestaje być młody”. I coś poważniejszego: wyrzuty sumienia, że nie mam dzieci. W 1933 Nina, zmuszona przeze mnie, musiała zrobić sobie skrobankę. Jeszcze wiele lat po tym ciągle mnie błagała, żebyśmy mieli dziecko, a ja odmawiałem. Mówiłem sobie: „kiedy będę dorosły..., ale jestem ledwo podrostkiem”.

7 czerwca

Znalazłszy się w obecnym apokaliptycznym potrzasku, mój naród nie ma zbyt wielu szans na przetrwanie; oto moja codzienna obsesja, która, jeśli nie wykończy mnie ostatecznie, to w każdym razie wyniszczy do szpiku kości. Dlaczego nie potrafię się ocalić, tak jak dziesięć lat temu, odwołując się do innych zasad i utożsamiając się z innym, bardziej uniwersalnym i wspanialszym przeznaczeniem?

Rumunia, ba, naród rumuński (w aspekcie swej ciągłości historycznej i kulturowej) przechodzi największy kryzys w swoich dziejach. Sąsiadujemy z imperium około sześciokrotnie większym od całej Europy, mającym 200 milionów mieszkańców, których w roku 2000 będzie około 400–500 milionów; dysponującym ogromną przestrzenią gospodarczą i geopolityczną, wyposażonym także w mistykę społeczną, ekumeniczną i ludową, zwłaszcza pod koniec wojny (głód, nędza, ruiny, rewolty, beznadzieja). Naprzeciwko tego kolosa w zwycięskim pochodzie Rumunia – chora, optymistyczna i łatwowierna. Klasa panująca, która wszystkie swoje nadzieje wiąże ze swą nienawiścią do Niemców. W całej tej burzy, o znaczeniu rozstrzygającym, nasi sternicy są ślepi. Nasza armia została zdzięsiątkowana w Rosji, pod Stalingradem utraciliśmy całe uzbrojenie, a tymczasem Węgrzy swoją siłą militarną zachowali nienaruszoną. Sens naszej ofiary krwi podważa idiotyczna gra przywództwa politycznego, które próbuje podwójnej gry z Anglosasami, tracąc to, co uzyskaliśmy u Niemców, a nie zyskując niczego u Anglików i Amerykanów. Wielki Ică swoją politykę robił wyłącznie z Niemcami, a teraz tenże sam Ică robi ją z Anglikami i Amerykanami, wysyłając głupawych emisariuszy, których wyłapuje gestapo i którzy kosztują nas dywizje na froncie. Ică nie rozumie tego, co Węgrzy rozumieli zawsze: że jeden człowiek nie może realizować dwóch polityk i że jego obowiązkiem jest uzyskanie, czego się da, od Niemców, odwołując się do naszych ofiar, i pozostawienie temu *drugiemu* możliwości realizowania *innej* polityki, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Z listów Niny i innych osób siedzących w kraju wnoszę, że prawie wszystko jest już stracone. Upadek Tunisu szampanem uczcili ci sami Rumuni, którzy nie pili szampana z okazji żadnego zwycięstwa Niemiec nad Rosją. Wszyscy oni się

ludzą, że jakoś się dogadają z Anglikami i Amerykanami. Ta sama tragiczna iluzja, którą hołubi nasze poselstwo w Lizbonie, prawdopodobnie też wszystkie pozostałe. Nikt nie widzi prostego faktu, że jeśli Rosji nie uda się pobić, upadek Niemiec pociągnie za sobą okupację Rumunii przez Sowietów i wszystko, co z tego wynika: egzekucję tych stu tysięcy ludzi, którzy, mimo swych grzechów, stanowią dziś rumuński fenomen.

10 czerwca

Człowiek jest twórcą jedynie w porządku biologicznym: może płodzić dzieci. To twórczość bezosobowa, dotycząca gatunku. Jednakże *akt* twórczy, Eros, może wyzwolić moce i wizje pierwotne, tak potężne, że wykraczają daleko poza współczesny horyzont mentalny; por. mistykę orgii archaicznych, Dionizosa itd. Poczucie, że *może tworzyć*, ta pewność, że jest *życiem* i może *płodzić życie*, przekształca człowieka w byt ogromny, kosmiczny. Istota, w której Eros dominuje jako pierwiastek metafizyczny i narzędzie włączania w rzeczywistość, żyje życiem całkowicie różnym od naszego, mającym o wiele więcej sensu i rozmachu. Jeśli są pewne archaiczne *tajemnice*, dostępne człowiekowi jako takiemu, niezepsutemu człowiekowi – zwierzęciu, to objawiają się one tylko jednostce ucieleśniającej Erosa totalnego, kosmicznego, bezproblemowego i wolnego od neurastenii.

Z zaciekawieniem można obserwować, jak te struktury dionizyjskie trwają nadal w cywilizacjach nowoczesnych i jak twardym orzechem do zgryzienia są dla uczonych, lekarzy i moralistów, którzy próbują je rozszyfrować! Dobrze zrobił chrześcijański Kościół, że nie zwalczał tych struktur erotycznych. Bóg nie może wyeliminować Erosa, nawet w jego formie bezpłodniającej, faunicznej. Tylko *bezpłodność* jest demoniczna. Eros płodny może być nieprzyjazny Bogu.

15 lipca

Manole jest moją dwudziestą piątą pracą drukowaną. Wraz z dwoma przekładami, z edycją pism Nae Ionesco *Róża wiatrów*, z *Ifigenią*, z niedawnym tomem artykułów politycznych i również niedawnym tomem prac etnograficznych, z *Mandragorą* (już prawie na ukończeniu), z pierwszym tomem *Nowego życia*, z opublikowanymi już zapiskami z podróży, jak też z około dwudziestu drukowanymi pracami (do których trzeba dodać tom *Ensaio luso-romenos*, w druku) – moja bibliografia osiągnęła już liczbę pięćdziesięciu pięciu książek i broszur. Pomijam przy tym *Powieść młodego krótkowidza* i *Gaudeamus*, które mają ukazać się pośmiertnie, jak też mój dziennik intymny, również przeznaczony do publikacji pośmiertnej. Mam trzydzieści sześć lat. Powinienem się czuć usatysfakcjonowany. W pewnym sensie nie marnowałem czasu.

Mimo to mam poczucie, że nie dałem z siebie prawie nic, że nie powiedziałem niczego istotnego, nie obwieściłem ani dziesiątej części prawd, dla których

posłano mnie na ten świat. Większość mojej produkcji to rzeczy przypadkowe. Pisane były pod presją wydawców, czasopism, zdarzeń. Nie miałem jeszcze okazji do spożytkowania w jakimś arcydziele całej mojej dotychczasowej pracy. Jestem Goethem, który nie napisał jeszcze nawet *Wertera*, choć obmyślił już *Fausta II*. To nie siły koncentracji mi brak. Ani ufności we własny geniusz, w trwałość mojego dzieła. Jestem świadom, że od czasów Eminescu nacja rumuńska nie widziała osobowości tak złożonej, potężnej i utalentowanej. Dobija mnie jednak odczucie lichoty rumuńskiej kultury i Europy. Urodziłem się pod bokiem Sowieckiej Rosji. To już mówi wszystko.

24 sierpnia

Samotność jest dla mnie nieustającym zaproszeniem do rzucenia się w nałóg, szaleństwo, przygodę. Gdy tylko zostaję całkiem sam – to znaczy gdy się dowiaduję, że Nina i Giza pojechały do miasta – czuję pokusę przerwania pracy, jakakolwiek by była, i zrobienia czegoś szalonego lub absurda, bez sensu (na przykład położenia się do łóżka, wyjścia z domu, kartkowania jakiejś nieciekawej książki).

[...]

26 sierpnia

W ostatnich dniach kilka godzin spędziłem z Interem de Quental, Camoësem i Keatsem. Zawsze powtarzałem, że moja nieszczęsna pamięć uniemożliwia mi zapamiętywanie wierszy. O ile jestem szczęśliwy, że zapominam mnóstwo rzeczy z wszystkich czytanych książek, o tyle jestem niepokieszony, że pamięć do wierszy mam okropną. Niektóre sonety Camoësa czytałem po dziesięć, dwanaście razy, i nie potrafię ich powtórzyć.

Grudzień

Liczy się tylko to, co może nas zapłodnić. Żaden człowiek, krajobraz czy książka mnie nie interesuje, jeśli mnie nie ubogaca, *jednocząc się* ze mną, pomagając mi stać się płodniejszym, potężniejszym. Wobec kosmosu każdy człowiek zachowuje się jak kobieta: czeka na zapłodnienie, by mógł objawiać się sam sobie i wypełnić swoją misję. Stajesz się sobą jedynie w chwili, gdy czujesz rośnięcie twojego jestestwa. Właśnie to ludzkie przeznaczenie jest punktem wyjścia dla erotyki symbolicznej wszystkich religii i mistyk; człowiek staje się sobą i czuje, że żyje (uczestnicząc w wydarzeniach, „interesując się” ludźmi) tylko w tej mierze, w jakiej się *łączy* i zostaje zapłodniony.

Nie wiem już, gdzie wyczytałem, że geniuszem czyni człowieka *uwaga* poświęcona geniuszowi. Taki Leonardo jest genialny, bo bacznie przypatruje się własnemu geniuszowi. Moja tragedia polega właśnie na tym, że nie zwracam uwagi

na swój geniusz. Gdybyście ujrzeli wizję, jakie mięwam podczas samotnych przechadzek, cały mój drukowany dorobek cisnęlibyście w ogień. W dniu, w którym zdobędę się na odwagę zgłoszenia tego, co we mnie wyjątkowe (a nie tylko „normalne”, jak dotychczas), stanę się tym, czym naprawdę jestem.

W pracy Labata o religijnym charakterze godności królewskiej u Asyryjczyków znajduję poniższy cytat z Böhla (s. 8): *Chez les Sémites, la force était le signe de la sphère divine* [u Semitów siła była znakiem boskości]. Tłumaczy to polityczną rewolucję Sargona, pierwszego człowieka w dziejach, który śni o imperium uniwersalnym. Semici widzą świat dynamicznie, to znaczy politycznie. Nawet religijność semicka koncentruje się wokół idei *siły*. W porównaniu na przykład z indoeuropejskimi albo dalekowschodnimi koncepcjami religijnymi, religia semicka jest rewolucyjna zarówno wskutek natężenia swej pobożności, jak z racji całkowitej zawistości przeżycia religijnego od bóstwa.

Im poważniej badam „to, co się wydarzyło”, tym bardziej się przekonuję, że historia, zdarzenie, to, co mogło bądź nie mogło się wydarzyć, ma znaczenie rozstrzygające. Na przykład wedyjska *soma* jest innowacją świeżej daty. Wcześniej były ofiary zwierzęce i ludzkie. Napój z *somy* został wprowadzony późno – i nie był „obowiązkowy”. A przecież *soma* stworzyła literaturę wedyjską, jaką znamy. Zmieniła całą kulturę. Ogromny rozmach teologii przedsomicznej zniknął. Pozostał tylko dokument wedyjski i według niego ferujemy sądy.

Ci, którzy nie upadają, *zatracają się* wskutek tego prostego faktu, iż są przekonani o nieistnieniu życia *post mortem*, o tym, że jest jedynie kosmiczna pustka, nicość. Po śmierci spotykasz to, co wierzysz, że spotkasz. Stąd zwrot: „pójdę w zatracenie”: albowiem nie wierząc w nieśmiertelność, umierają definitywnie w chwili zgonu.

Przeczytaj u [Gomesa Eanesa de] Kurary o rozdzielaniu członków rodzin sprzedanych w niewolę. Por. rodziny na terytoriach zajętych przez ZSRR. Stosunek panów do niewolników jest zawsze taki sam.

1944

Styczeń

Przypominam sobie pełną melancholii odrazę, z jaką patrzyłem na nadsekwańskich bukinistów. Nawet nie miałem odwagi podejść trochę bliżej do tych martwych książek, pożółkłych od słońca i kartkowanych przez wiatr. Parę rzutów oka wystarczyło, bym zrozumiał: smutne zeschnięte liście, makulatura, efemerydy wyzbyte nawet śmieszności. Cała ta masa przygnębiała mnie. W tym momencie moja miłość do książek zmieniła się w głęboki wstręt, w pełne obrzydzenie

wobec zapisanej litery i zadrukowanego papieru. W podobnych chwilach nie wierzę już w „kulturę” ani w ogóle w nic już oprócz śmierci. Mam wrażenie, że jestem na cmentarzu.

W gruncie rzeczy taka jest prawda. Żadne dzieło nie dostępuje ocalenia. Antykwariusze z nadbrzeży Sekwany przedstawiają los wszelkiego wysiłku w dziedzinie kultury, wszelkiej twórczości. Oni są odbiorcami efemeryd naszego stulecia. Biblioteki zalegają efemerydy poprzednich stuleci. Za dziesięć tysięcy lat nawet Dante, nawet Homer będą być może tak samo nieistotni jak pozółkła powieść z roku 1900, leżąca dziś na straganie bukinisty. A jeśli dziesięć tysięcy lat wyda się wam za mało, wstawcie sto albo pięćset tysięcy lat. Wyjdzie na to samo. Tylko Eklezjasta miał odwagę wyznać prawdę – i szczęście, że ludzie go słuchają.

26 maja

Charakterystycznym rysem mojej osobowości jest całkowity brak ambicji. To też częściowo tłumaczy błahość mojej twórczości, fakt, że nie jestem obecnie autorem europejskim. To, co w mojej myśli najlepsze, najoryginalniejsze i najgłębsze – przekazuję w rozmowach albo zachowuję tylko dla siebie. Żadnej książki nie pisałem z myślą o wybiciu się, o daniu z siebie wszystkiego, lecz tylko pod przymusem konieczności albo żeby gwoli pouczenia przekazać innym coś z tego, co sam wiedziałem bądź myślałem. Nigdy nie interesowałem się tłumaczeniem moich książek. Bez odpowiedzi pozostawiałem zaproszenie do publikowania w zagranicznych pismach i wykładania na obcych uniwersytetach. W Oksfordzie, w Combrze, ongiś w Kalkucie i Rzymie – mogłem w każdej chwili mieć cykle wykładów. Postępowałem tak nie z wygodnictwa czy skromności, lecz głównie z braku bodaj odrobiny ambicji. Zawsze do szczęścia wystarczało mi to, że jestem wolny i że świat zostawia mnie w spokoju, tak że mogę troszczyć się o własne sprawy. Gdyby takie samo usposobienie miał Freud, psychoanaliza dziś by nie istniała (pomijając wąski krąg specjalistów). Jestem nieładnie zdystansowany wobec mego geniuszu i dzieła. Gdybym był bogaty, napisałbym prawdopodobnie dwie, trzy książki, i to niepublikowane. Szczęśliwy jestem tylko, gdy czuję się panem samego siebie, gdy nie sprawuje nade mną władzy „dzieło”, któremu trzeba nadać formę. Może moja obojętność i brak ambicji są moją religijnością.

Czerwiec

[...]

W Belém, dokąd zaprowadziłem Stankę, żeby zobaczyć „Wieżę”, zrozumiałem, że styl manueliński to tylko plastyczne odwzorowanie obłędu szaleństwa wielkości i zazadzenia poczuciem mocy w następstwie odkryć morskich. Ludzie, którzy podbijali kontynenty i odkrywali nowe terytoria, po prostu stracili głowę. Nic w tym demiurgicznego, tylko upojenie się bogactwem i potęgą, które *znaleźli*.

11 września

Jakbym zaczynał się budzić ze złego snu. Jakbym zaczynał nowe życie. Co działa się ze mną przez ostatnich sześć tygodni?

Mam wrażenie, że sierpień 1944, a zwłaszcza druga jego połowa, był najokropniejszym miesiącem w moim życiu. Całymi dniami nie wiedziałem, na jakim świecie żyję, bo miałem dwa, trzy ataki nerwowe dziennie. Nina jest jeszcze w Louçã i od dwóch tygodni czuje się gorzej niż w dniu przyjazdu. Obrzęk lewej nogi, który zaczął ustępować dopiero parę dni temu, przeraził mnie i przeraził również ją. Nina już nie może zejść z łóżka. Jest tak słaba, że nie potrafi samodzielnie poruszyć chorą nogą. Przez mniej więcej dwa tygodnie cierpiała na uraz pokarmowy, uniemożliwiający jej zatrzymanie nawet przełkniętej herbaty. Je mało, z oczami zawiązanymi. Zatruta jest zastrzykami eucodalu itp. A jednak doktor Wagner przysłał jej z Berlina przepis leczenia, toteż mamy jakąś nadzieję. Ale jej ogólny stan jest zatrważający.

Odkąd nie może zejść z łóżka, żeby podejść do telefonu, codziennie któreś z nas jeździ do Louçã. Giza albo ja. Za każdym razem, gdy jadę autobusem, przypominam sobie inne chwile z naszego wspólnego życia. W gruncie rzeczy to właśnie jest wspaniałe w udanym małżeństwie: że masz świadka swojego przeszłego życia, ściślej biorąc – najważniejszych chwil tego życia, rozmaitych jego napięć i objawień. Twoja żona nosi w sobie tę samą co i ty tajemnicę: pewnego szczególnego światła w pewien sierpniowy wieczór na pewnej plaży, które oprócz ciebie zna jeszcze tylko *ona*; tylko jej pamięć nadaje wartość i duchowy sens paru milionom szczegółów, obrazów, spotkań itd. Nikt na świecie, oprócz Niny i mnie, nie wie, jak wyglądało Titisee pewnego popołudnia, gdyśmy je razem widzieli. Nikt oprócz nas dwojga nie widział *naszego* Ulm. Mnie wiąże z Niną o wiele więcej niż tylko miłość i przyjaźń; związani jesteśmy również *historią*, którą wspólnie przeżywalismy bądź budowalismy.

O wszystkim tym myślałem nieraz, gdy przygniatały mnie smutek i pustka. W ostatnich dniach, kiedy przebywałem z Niną przez około trzydzieści sześć godzin, nie mogłem, zbliżając się do niej, powstrzymać płaczu. Opłakiwałem ten ogrom szczęścia i miłości, jaki kryła nasza wspólna przeszłość!

W pierwszych dniach sierpnia z uporem trudziłem się nad *Prolegomenami*. Ukończyłem rozdział „o roślinności” na dwa dni przed przyjazdem N.I. Herescu. Na lotnisku w Stuttgarcie spaliły mu się bagaże i pieniądze, prawie cudem uszedł z życiem. Od 18 sierpnia razem z żoną i córką mieszka u nas.

Nocami wisieliśmy u radia i telefonu, czekając na wiadomości z Rumunii. Od dnia kapitulacji mogliśmy już tylko słuchać radia, czytać gazety i dzwonić do przyjaciół, pytając o wiadomości. Żyliśmy w ciągłym, acz zmiennym napięciu: kilka razy w ciągu dnia bywaliśmy zrezygnowani, szczęśliwi albo przybici.

Z Herescu z rzadka tylko mówiliśmy o naszych poważnych, intelektualnych sprawach. O polityce i o tzw. sprawach męskich – aż do przesyty.

Sierpień był dla mnie piekłem. Bywały dni, kiedy nie miałem siły, ba, nawet ochoty, żeby otworzyć książkę, popatrzeć na niebo, pomarzyć. Żyłem jak larwa oszaląca od gorączki. Zupełnie oczadziały. Brak mi odwagi, żeby pisać o wszystkim, co się ze mną dzieje. Może jakoś z tego wyjdę! To nie jest tylko nerwica czy przemęczenie, jak sądziłem. To całkiem po prostu zaćmienie umysłu.

Przestałem pisać *Dziennik*. *Prolegomena* przerwałem 18 sierpnia.

Napisałem referat na Kordowę.

Louçã, 19 września

Sanatorium, noc spędziłem przy Ninie. Znow uświadamiam sobie, jak bardzo jest chora.

Dziś przyjeżdża Giza, żeby mnie zmienić. Znow mam atak nerwowy, w obecności Gizy i Niny.

Wieczorem w mieście z Herescu. Rozpaczliwie szukam jakiegoś lekarstwa. Chyba żadnej nadziei oprócz Matki Boskiej. Mój umysł jest chory. *Sophia*.

Cascais, 20 grudnia

Piszę w naszym nowym – moim i Gizy – mieszkaniu, Rua de Saudade 13, Cascais. Piszę przy biurku w moim gabinecie, mając przed sobą, o kilka kroków, ocean.

20 listopada o 12:30 Nina odeszła od nas – nieświadoma; my nawet niczego się nie domyślaliśmy, a siostra miłosierdzia nawet nas nie ostrzegła. W poniedziałek 20 listopada, o 12:30. Jedenaście lat i jedenaście miesięcy (bez pięciu dni) od naszych zaręczyn.

Odeszła dopiero wtedy, gdy straciła przytomność. Poza tym walczyła przez cały czas. Wspominając, ile się nacierpiła w ostatnich miesiącach, a zwłaszcza w ciągu ostatnich dziesięciu, piętnastu dni, nie mogę opanować płaczu, tak rozpacz mnie ogarnia. Czyżby cała ta męka niczego nie odkupiała? Nie mogę uwierzyć. Jestem pewien, że Nina musiała ją przejść, aby móc oderwać się od ziemi. Jej miłość do mnie była tak pełna, że nie pozwalała jej odejść. A gdy już odeszła, z pewnością snuła by się wokół mnie aż do mojej śmierci, gdyby nie oczyściły jej te cierpienia. Nie chcę myśleć o materialnych przyczynach jej śmierci: o całym tym długim ciągu katastrof – rak poczynając od lata 1943, ischias od lutego 1944, naświetlania w czerwcu, krwotok, zapalenie ślinianek, gruczoł podjęzykowy, prawe płuco prawdopodobnie wyłączone przez galopujące suchoty. Lekarz mówi, że dobiła ją ogólna infekcja. Sześć transfuzji i trzy serie sulfamidów, nie licząc mnóstwa innych zastrzyków – wszystko to nie zdołało wyciągnąć jej z tego ogólnego zakażenia, które uniemożliwiało jej jedzenie, a w ostatnich godzinach także oddychanie. Nie chcę o tym myśleć. Ninę odebrano mi za moje przewiny, a gwoili jej zbawienia. Pan postanowił

mi ją zabrać, żeby wrzucić mnie w nowe życie – o którym na razie nie mam nawet pojęcia.

Przez długi czas nie mogłem w to uwierzyć. Pierwszego dnia nie miałem jeszcze świadomości, że odeszła na zawsze. Jedyne pocieszenie: że już nie cierpi. Że już nie będzie musiała przeżywać udręki z każdą łyżeczką kawy z mlekiem, powodującą długie ataki kaszlu. Ropniaki, które wyroili się w całej jamie ustnej, uniemożliwiały jej przełykanie. Było ponad moje siły widzieć ją tak cierpiącą. Dlaczego, Boże mój, dlaczego?!

Przez całą noc czytałem jej Ewangelie. Wiedziałem, że jeszcze nie przecknęła się ze snu, że jest obok mnie, nieświadoma, co się dzieje.

Nazajutrz, zgodnie z tutejszym zwyczajem, pochowano ją. W ołowianej trumnie czeka w krypcie cmentarza Anjos na przewiezienie do kraju. Tak bardzo pragnęła być pogrzebana w rumuńskiej ziemi, taką grozą napełniała ją myśl, że mogłaby zmieszać się z ziemią tego kraju, którego od roku nienawidziła ze wszystkich sił!...

Tej nocy do późna rozmawiałem z Gizą. Pocieszałyśmy się myślą, że już nie cierpi – i nadzieją, że ostatnie dwanaście lat były dla niej szczęśliwe...

Przez wiele dni nie dochodziło do mnie to, że odeszła naprawdę. Nawet nie czułem wielkiego bólu. Jakaś apatia, duchowa drzemka, z której wytręcały mnie nagle wspomnienia przyjemnych epizodów z owych dwunastu lat. Potem pojechalśmy na nocleg do willi Brutusa Poste w Estriolu, który tylko z rzadka przyjeżdżał do Lizbony, żeby zapakować bibliotekę i pozbierać wszystkie rzeczy. Często, pełne rozpaczny napady płaczu, bez żadnej zapowiedzi. Wiedząc, że tym płaczem sprawiam przykrość Ninie, usiłowałem wziąć się w garść, modląc się albo czytając Ewangelie lub św. Pawła.

Nie odczuwałem nawet ciosów materialnych. Doktor Damaso Moura, którego niedbalstwo przyspieszyło zgon Niny (bo wrześnie krwotoki zauważył dopiero po dwóch tygodniach, w dniu, w którym straciła około dwóch i pół litra krwi), żąda jeszcze ode mnie 7000 escudos oprócz tych 6000, które już mu dałem. Rząd w Bukareszcie zawiadamia poselstwo, że wycofuje mnie z personelu (a niby dlaczego? To nie Antonescu mnie mianował, lecz demokratyczny rząd króla Karola) i że do 31 stycznia 1945 będą mi płacić jedną trzecią pensji, a potem już nic. Jednak Brutus Poste wypłaca mi nadal dwa tysiące franków szwajcarskich (nie zaś jedną trzecią), aż do 31 stycznia 1945, a potem, jak mówi, będzie mi dawał, dopóki pozostanie na swym stanowisku, 7000 escudos miesięcznie z własnego funduszu specjalnego. Jesteśmy po uszy w długach. Jeszcze nie uiściliśmy rachunków szpitalnych (transfuzje) i nie zapłaciliśmy tłumowi lekarzy. Robię pierwszą selekcję książek do sprzedaży. Znajduję domek w Cascais za 1200 escudos miesięcznie. Ale wszystko jest mi doskonale obojętne.

Grudzień

Nina nie z własnej woli odeszła ode mnie, lecz zabrał mi ją Bóg, aby zmusić mnie do myślenia w sposób twórczy, to znaczy, by ułatwić mi zbawienie. Odejście Niny będzie mieć dla całego mojego dalszego życia sens soteriologiczny. Rozstanie z Majtreji, dziewiętnaście lat temu, też miało taki sens: wyjechałem z Indii, porzuciłem jogę i filozofię indyjską na rzecz kultury rumuńskiej i mojego pisania.

Wskutek śmierci Niny staję się uboższy. Całe życie – dwanaście lat czasu młodości – ustawicznie zyskiwało na wartości i znaczeniu dzięki naszym rozmowom i wspólnym wspomnieniom. „Pamiętasz, jak we Fryburgu wsiedliśmy do tramwaju, a tamten starszy pan zagadnął do nas po francusku i zaproponował, że zaprowadzi nas na rynek?”. Te pytania odświeżały przeszłość, ożywiały ją i czyniły owocną. Życie spędzone razem nie jest stracone, jeśli jest jakieś *razem*, które ustawicznie je przeobraża, poszerza, zapładnia. Teraz to „razem” jest dla mnie stracone. Wszystko, co najintymniejsze, najbardziej błogie i dramatyczne – cała nasza najistotniejsza *historia* – pozostała już tylko we mnie. Nie mogę jej przywoływać, bo sens miała ona tylko i wyłącznie dla nas, dla nas dwojga. Stąd też moja samotność prawdopodobnie nigdy nie znajdzie pocieszenia w twórczości literackiej; może tylko za pośrednictwem filozofii i teologii. Nie mam już dla kogo wspominać rozmaitych drobiazgów.

23 grudnia

Od lat źródło mojej nadziei, jak też beznadziei, leży w rzeczywistości ducha i w życiu pośmiertnym. Straszliwy nihilizm, niekiedy mnie ogarniający, wybucha w chwili, gdy zaczynam wątpić, że *po drugiej stronie* coś jest. Wtedy czuję się tak wolny i obojętny, że mógłbym popełnić każdą zbrodnię, każdy występki. A „upływ czasu” mogę znieść jedynie w chwilach, gdy nie wątpię o tamtej stronie. W innej sytuacji czuję, jak przemija czas, jak się starzeję i gnam ku nicości – i wówczas ukojenie mogę znaleźć tylko w orgii. Moja sztuka *Ludzie i kamienie* mówi coś istotnego o nihilizmie wywołanym utratą wiary w *tamtą stronę*.

Ale to samo mówi – i to jak brutalnie! – święty Paweł (1 Kor 15, 32): „Skoro zmarli nie zmartwychwstają, to jedźmy i pijmy, bo jutro pomrzemy”. Nie pamiętałem tego ustępu, choć w obozie, w Ciuc, dość uważnie studiowałem Listy. (To dziwne, jak szybko i kompletnie zapominam wszelką myśl – cudzą albo własną – która mogłaby mnie ukoić i wzmocnić!). Czuję, że moja dziecinna i pogańska nadzieja – że kiedyś, gdy umrę, znów spotkam się z Niną – jest okropnie wątpliwa. Nie taką powinienem mieć nadzieję, nie *tylko* taką. Za to z wielką, żarliwą i absolutną pewnością powinienem wierzyć, że oboje zmartwychwsta-

niemy we własnych ciałach. Tylko w ten sposób, w ciele, mogą być odkupione cierpienia Niny i wszelkie możliwe szczęście, jakiego moglibyśmy zaznać, lecz nie zaznaliśmy.

1945

2 stycznia

Czytam Diltheya, Heideggera. Wszystko pięknie: filozofia zaczyna się od analizy egzystencjalnej, od rozróżnienia między *res* i *sum*. Ale wszystkie te analizy wychodzą od człowieka dzisiejszego, od dzisiejszego Europejczyka z całym jego zapleczem naukowym i kulturowym! Nie jest to *człowiek* jako taki. A tego, że jakiś jogin chodzi po rozżarzonych węglach, połyka brzytwy, unosi się w powietrzu, robi się niewidzialny, wchodzi w pozorną śmierć itd. – tego wszystkiego się nie bierze pod uwagę? Dlaczego zawsze mamy na przedmiot rozważań brać człowieka upadłego, dzisiejszego Europejczyka? Dlaczego nie uwzględniamy innych ludzi i ich predyspozycji do wolności, ich woli twórczej, ich możliwości transcendowania kondycji „upadłej”?

Współczesna filozofia egzystencjalna, a zresztą również spekulatywna, zasadna jest tylko w odniesieniu do jej twórców – i nic więcej.

Hiob w końcu odzyskuje mienie, a Bóg obdarza go innymi dziećmi. Ale to mnie nie pociesza. Kto odkupi cierpienia Hioba? Ażeby mógł on znowu cieszyć się życiem i Bogiem, powinno ulec unieważnieniu wszystko, co wycierpiał, cała przeszłość; wszystko powinno znów być dokładnie tak, jak na początku, gdy jeszcze nic nie przecierpiał, niczym nie został doświadczony. Otóż cała ta *historia* pozostaje. Bóg jej nie unieważnia. Bóg nie sprawia, aby *to, co było, przestało być*. Jeżeli Hiob bez miary kochał swoją pierwszą żonę, to jakże mógł pocieszyć się drugą, którą Bóg mu dał? I czyż wspomnienie cierpień nie zmąciło mu nowo uzyskanego szczęścia? Przede wszystkim zaś wspomnienie jego zmarłych dzieci, dzieci, które umarły, gdyż on, Hiob, został doświadczony przez Boga?

7 stycznia

Długie chwile utraty poczucia czasu. Ze wzrokiem utkwionym w oknie zapominam, że żyję.

Nadal jednak powtarzają się, z tą samą intensywnością, napady rozpacz. Nie mogę pozbyć się obsesji rzeczy, które mogły być zrobione, a zrobione nie zostały. Dlaczego nie byłem, dlaczego nie zrobiłem, nie poprosiłem, itd., itd.?!...

A gdy już wyrwam się z piekła tej beznadziei, z jakąś straszliwą fatalnością odczuwam starą, tak dobrze mi znaną namiętność do ciała, pragnienie zatracenia się w najkonkretniejszej erotyce. Nigdy bardziej niż w tych ostatnich tygodniach nie była dla mnie oczywista fundamentalna ambiwalencja człowieka, dwubiegunowość

wszystkich jego instynktów. Co ze mną będzie? Moja abstynencja trwa zaledwie około dwóch miesięcy, a już grozi zrujnowaniem tej odrobiny witalności i odpowiedzialności, jaką oszczędziły ataki rozpacz i melancholii. Jeśli ten ascetyczny reżym będzie się przedłużał, nie uzyskując mocnego zabezpieczenia w postaci stabilnego życia duchowego czy też religijnej pociechy, czeka mnie w końcu obłąd lub samobójstwo. Mimo całej mojej desperacji, mimo porywów absurda i paradoksalnej wiary (tak jak to jest i powinno być z każdym aktem wiary), mimo napadów melancholii – ogarnia mnie, gdy tylko *wychodzę* z takich chwil (które, jakkolwiek by były dręczące, są jednak momentami duchowymi), upojenie ciałem, dzika namiętność ciała, cielesnej miłości, jakiegokolwiek, bodaj nawet za pieniądze, z jakąkolwiek kobietą, ze wszystkimi kobietami. Na razie te orgiastyczne porywy kielżam wspominaniem cierpień Niny. Ale czuję, że to, co robię, jest świętokradztwem. Czuję, że pamięci o Ninie i jej miłości nie wolno mi wplątywać w sprawy mej cielesnej higieny, mej fizjologicznej równowagi. Tęgo bardziej się wstydzę niż inwazji samej konkretnej erotyki.

Skłonny jestem zapisywać wszystko w tym dzienniku, którego chciwie szukam wokół siebie, który zawsze mam pod ręką. Ale czy będę miał odwagę, żeby wyznać również moją straszną tajemnicę? Chyba bym nie przeżył takiego wyznania. Mógłbym to uczynić jedynie w chwili, w której bym się upewnił, że *mimo wszystko* dane mi będzie przebaczenie i zbawienie.

Dzięki szczęściu Gizy, która złapała audycję Radia Rumuńskiego dla prowincji, od 1 stycznia możemy każdego wieczora słuchać nadawanego dla gazet serwisu wiadomości krajowych. Po raz pierwszy od zawieszenia broni dowiadujemy się, co się dzieje w kraju. Że nie będzie się dziać nic dobrego – spodziewaliśmy się. Jakiż sens miałyby moje lamenty z powodu pociągów pełnych wyposażenia, co dnia wyjeżdżających z kraju w stronę Rosji? Itd., itp. Wszystko to zostało ustalone w układzie o rozejmie. Żeby przetrwać, musimy płacić – w nadmiarze i z nawiązką. Oskarżono nas o udział w walkach pod Stalingradem – teraz walczymy na pierwszej linii w Budapeszcie i Czechosłowacji. Nic się na to nie poradzi, skoroś mały i głupi, itd.

Wśród rozmaitych wiadomości jest i taka, że – zgodnie z postanowieniami jednego z artykułów układu o rozejmie – wszystkie wycofane z obiegu prace i publikacje muszą też zostać wycofane z bibliotek publicznych, zdeponowane w skrzyniach albo specjalnych pomieszczeniach i opieczętowane; odpowiadają za to osobiście dyrektorzy bibliotek.

Usłyszawszy tę wiadomość, zacząłem się zastanawiać, czy obecnie jestem jeszcze, czy też już nie, autorem dostępnym w Rumunii. Jako „faszysta” zostałem

wycofany z zasobów kadrowych, a jeśli będzie trzeba, odbiorą mi też obywatelstwo. *Salazara* i *Powrót z kraju* niewątpliwie natychmiast wycofano z obiegu. Ba, nawet moi wydawcy – Cugetarea, Publicom – też już chyba przestali funkcjonować. Książki w ostatnich latach wznowione przez wydawnictwo Cugetarea będą sprzedawane na wagę – w najlepszym razie (bo może zostaną użyte do pakowania mąki). *Mistrz Manole*, jako opublikowany przez Publicom, prawdopodobnie znalazł się na indeksie. Owszem, możliwe jest, że cała moja twórczość została zakazana.

Kierkegaard, który nie wierzył (sam wyznaje, że wiarę utracił jako bardzo młody człowiek), jest autorem najbardziej przenikliwych analiz uczucia religijnego i jak nikt inny w wieku XIX (może jeszcze tylko Schleiermacher wniósł tu płodny wkład – dowodem jest w każdym razie *Świętość Otta*) przyczynił się do ustalenia autonomii przeżycia religijnego, do definitywnego oderwania go od etyki i metafizyki. W kulturze rumuńskiej podobnie ułożyły się losy Nae Ionescu. Nikt bardziej niż on nie przyczynił się, w okresie 1920–1940, do popularyzacji problematyki religijnej, do uprawomocnienia przeżyć pozaracjonalnych, do upowszechnienia doktryn i terminów teologicznych wśród laików. A przecież Nae Ionesco bezustannie czynił wysiłki, aby w końcu uwierzyć – tak, jak wierzy chrześcijański chłop. Ciągłe jednak nękały go wątpliwości, Znaczna część jego myśli systemowej nie uwzględnia Boga; budował ją bez pomocy ani obecności Boga. Wiem w gruncie rzeczy, że Nae Ionesco utracił wiarę w młodym wieku oraz że, jak twierdził, odnalazł ją znów podczas studiów w Niemczech. Zadaję sobie jednak pytanie: czy odnalazł ją naprawdę? I czy nigdy jej już nie utracił? Nie wiem, jak odpowiedzieć. Faktem jest, że wiara łatwa, całkowita, nie mogłaby być twórcza w kulturze, tak jak twórcza była wiara utracona i „odnaleziona” Nae Ionesco. Jego przygody z poszukiwaniem Boga były płodne dla młodzieży i w ogóle dla kultury rumuńskiej.

9 stycznia

Budzę się rankiem straszliwie smutny, dusząc się od płaczu.

Nigdy nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo mojej twórczości i mnie samemu szkodziły eros i ciało z ich różnorodnymi zachętami do sceptycyzmu, epikureizmu i tumiwizmu. Pociąg do życia pełnego przyjemności – to znaczy, mówiąc dokładnie, do życia pełnego przygód erotycznych – rozmiękczał mnie nieustannie, wiele zaś moich najszlachetniejszych porywów obracał w nicłość ten upór przywy, śmieszny lejtmotyw: po co? Jesteś jeszcze młody, korzystaj już, natych-

miast, żebyś potem nie żałował, itd. Ta mieszanina patosu i banału, ekstaz i taniej cielesności, wieczności i „pij! pij! Nie patrz!” – była prawdziwym przekleństwem dla mnie, a przede wszystkim dla mojej twórczości. Skłonności do taniej i łatwej przygody erotycznej odpowiada na płaszczyźnie twórczej skłonność do scjentyzmu, erudycji i filozoficznego ciepłka. Aż do mniej więcej 1938 czułem grozę na myśl, że mógłbym zostać uznany za amatora w dziedzinie kultury – dlatego publikowałem prace aż niestrawne od erudycji. Ten lęk przed dyletantyzmem zdradzał jedynie tajemną walkę ze sceptycyzmem i scjentyzmem. Nie śmiałem rozstać się – jak w rzeczywistości zamierzałem – z pozytywizmem, choć nie godziłem się też na ustawianie mnie w szeregu „uczonych”, bo gardziłem nimi. Ten pociąg do scjentyzmu, erudycji, kultury itd. – był analogiczny do cielesnych ponęt taniej i łatwej przygody, szybko porzuconej dla innej. Moim miłosnym zapałom do Niny i moim przygodom legionowym odpowiadała, w metafizyce i religii, namiętność do Absolutu. Jakże podziwiam tych, którzy potrafią „snuć nie wspomnień” (tak się to chyba mówi), przeżywać ponownie, rok po roku, dzieciństwo, dorastanie, młodość! Ja z chwilą, gdy nawiążę rzeczywisty kontakt z przeszłością, gdy dam się pochwyć w sieć wspomnień – czuję się tak przygnieciony i zdruzgotany, że prawie rozpływam się w rozpacz i smutku. Już we wczesnej młodości odczuwałem trwogę przed nawałem wspomnień ściągających na mnie okropną melancholię. Felieton „Przeciwko Mołdawii” – który w swoim czasie wywołał taki skandal – napisałem, żeby otrząsnąć się z takiego kryzysu. Sądziłem wówczas, że moja melancholia jest nieskonsumowaną resztką okresu chłopięctwa, wpływem mojego mołdawskiego dziedzictwa. Dopiero w ostatnich latach zrozumiałem, że melancholia jest jedyną udzieloną mi przez Boga formą przeżycia religijnego. Rodzić się zaś może ona ze wszystkiego, głównie jednak ze wspomnień o tym, co było. Od czasu odejścia Niny nie śmiem wspominać czegokolwiek osobistego. Wspominam tylko – i to jedynie w towarzystwie Gیزی albo gdy jestem zmuszony – rzeczy dotyczące innych, ogólne, związane z obiektywną historią. Mogę spoglądać tylko w przyszłość. Przeszłość mnie mrozi. Gdy czuję, że *muszę* sięgnąć do jakiegoś konkretnego roku (na przykład 1934 albo 1938), robię wszystko, by sięgać do jego aspektu *historycznego*, a nie biograficznego.

Dlaczego chrześcijaństwo – a zwłaszcza prawdziwe chrześcijaństwo – zrównuje cierpienie z miłością Boga? Dlaczego człowiek, którego Bóg kocha, musi cierpieć i czemu jego cierpienie ma świadczyć o miłości Boga do człowieka, który cierpi? Czy w sensie religijnym nie jest prawdziwszy pogląd żydowski, zgodnie z którym miłość Boga do człowieka przejawia się w łaskawym sprzyjaniu mu, w obdarzaniu go szczęściem i pomyślnością? Czy nie jest prawdziwsze doświadczenie religijne ocalające konkret, dobra materialne? Czyż Chrystus nie mówi, że mając wiarę, możemy żądać od gór, by rzuciły się w morze? Wszak wiara może wszystko, może sprawić, że świat materialny, dobrobyt, szczęście, zdrowie itd. będą na nasze rozkazy. Im zaś silniej człowiek *wierzy* w Boga, tym szczęśliwszy powinien

być *tutaj*, na ziemi, gdyż „wszystko, o co w modlitwie prosicie, stanie się wam, tylko wiercie, że otrzymacie” (Marek 11, 24).

W tym względzie wierzę Izajaszowi: „Szczęśliwy sprawiedliwy, bo pozyska dobro; zażywać będzie owocu swych czynów” (3, 10). Bóg wynagradza *tutaj*, na ziemi, i darzy łaskawie dobrami materialnymi, szczęściem i krzepkimi radościami ciała. Pociąg Żydów do konkretności i luksusu, do bogactw i przyjemnego życia, do licznych rodzin – jest całkowicie usprawiedliwiony. Skąd to pragnienie cierpień i męczeństwa? Czyż największą radością, jaką Bóg umożliwił człowiekowi, nie jest „zbawienie” konkretności, nadanie mu sensu religijnego, rozkoszowanie się ciałem, jednocześnie trwając w duchu? Czy religia powinna – tak jak ja uważam – reintegrować całość konkretności, czy też może unieważnić go, ignorować, gardzić nim?...

11 stycznia

Są godziny, w których nie mogę znieść rozstania się z Niną. Wtedy nie wiem, co robić. Nic nie może mnie pocieszyć. Nie mogę się modlić. A potem wreszcie przychodzę do siebie. Jestem jeśli nie pogodzony z losem, to przynajmniej zrezygnowany. Skończoność mojej egzystencji ma jeszcze jakiś sens.

Jestem pewien, że takie wychodzenie z kryzysów zawdzięczam pomocy z góry.

13 stycznia

[...]

Ktoś może mi powie: dlaczego opowiadasz ciągle o ludziach „pierwotnych”, stojących tak nisko na drabinie rozwojowej, tak nieszczęśliwych itd., i podajesz ich nam, ludziom cywilizowanym, jako przykłady? Chętnie odpowiedziałbym mu tak:

Wyobrażam sobie na jakiejś plaży pięciu cywilizowanych mężczyzn, wszystkich już od dawna niedołężnych: jeden jest głuchy, drugi ślepy, trzeci ułomny, czwarty chory na żołądek, piąty – na nerwy. Wszyscy jednak są dobrze ubrani, schludni, wykształceni itd. – i są świadkami zabawy jakiejś grupy „dzikusów”, rzecz jasna, prawie nagich, którzy oddają się rozrywce, tańczą, śpiewają, a przede wszystkim kochają się tam, na oczach obserwatorów. Ślepiec nie będzie ich widział, lecz będzie słyszał ich głosy; głuchy zobaczy ich, ale nie usłyszy muzyki, itd. Wszyscy będą wiedzieć, że tamci oddają się miłości, a więc – przynajmniej z tego punktu widzenia – nieskończenie nad nimi górują. I powiedzą: to prawda, że oni *mogą* to, czego my już od dawna nie możemy, ale przecież są brudni, są brzydacy, nadzy i jest im zimno, no i kiepsko jedzą; są też barbarzyńcami i ignorantami, i nie wierzą nawet w prawdziwego Boga.

27 stycznia

Wielkie poruszenie w rumuńskiej wspólnocie: szwedzki statek, mający kursować między Niemcami i Turcją, może zabrać również Rumunów z Półwyspu Iberyjskiego. Zawinie tu prawdopodobnie około 1 marca. I oto teraz wszyscy, którzy jeszcze wczoraj prześcigali się w żarliwych zapewnieniach, że chcą wracać do kraju, są zakłopotani, wynajdują rozmaite trudności i zadają sobie pytanie, czy nie robią największego głupstwa, wracając do najgorszej pod słońcem zarazy, itd.

Jeśli o mnie chodzi, podjąłem też decyzję. Powróciłbym, tylko mając pewność, że będę mógł na nowo wydać dawne książki i publikować nowe. Usunięty z ministerstwa, bez katedry na uniwersytecie, bez oszczędności i możliwości zarabiania na życie w sposób godziwy – co więcej, ryzykując aresztowaniem przy pierwszej niestrawności Any Pauker – nie mam czego szukać w kraju. Wolę już wegetować w Cascais, gdzie przynajmniej mam to, co na świecie najcenniejsze: wolność. Oczywiście, póki nie będę mógł wyjechać do Paryża albo Ameryki.

10 lutego

[...]

Czy płomienie Piekła nie pełnią aby funkcji „osuszenia” duszy z „wilgoci”, jaką są namiętności?

Symbolika wód jest zbyt rozległa, bym mógł ją tu streszczać. Poświęciłem jej rozdział w *Prolegomenach*. Przypominam jednak, że woda rozpuszcza, dezintegruje, bełta. „Woda jest śmiercią dla duszy”, powiada gdzieś Heraklit. Woda jest zasadą wszelkiego rozpadu i powrotu do amorficzności, nieodróżnicowania. Otóż kara piekielna zmierza właśnie do osuszenia duszy, usunięcia, poprzez okrutne cierpienia, „wód” (namiętności, które zbełtały człowieka z materią – z „błotem”).

12 lutego

Dopiero teraz rozumiem głęboki sens pewnego indyjskiego zwyczaju: na znak wielkiego afektu mistrz duchowy własnoręcznie karmi swego ucznia. Tak też w Ryszikeszu dawał mi jeść Swami: wkładał mi do ust jeden orzech laskowy po drugim. Sądziłem, że jest to oznaka miłości. Dziś rozumiem: uczeń jest nowo narodzony, jak każdy neofita podczas ceremonii inicjacyjnej. Jest jeszcze oseskiem, nie potrafi sam jeść. W wielu „pierwotnych” społecznościach inicjacyjnych kandydat zapomina mówić i posługiwać się rękami, więc rodzice karmią go jak dziecko, wkładając mu jedzenie do ust.

21 lutego

Wśród krótkich rozprawek, które chciałbym napisać – krótkich, nawet lakonicznych, bo nie będę miał czasu, żeby napisać wszystkie – będzie jedna, poświę-

cona problemowi życia pośmiertnego. Zaskakujące jest to, że każdy po śmierci napotyka świat, który przyjął w ramach swej tradycji religijnej bądź wykoncypował sobie samodzielnie. Buddysta napotka krainy i formy znane mu z jego mitologii i obrzędów; buddyjski mistyk lub metafizyk – pustkę, błogość niebytu itd. Mahometanin, żyd, chrześcijanin będzie *post mortem* przemierzał znajome geografie thanatyczne, które przestudiował bądź skorygował za życia. Ale niedowiarek, ktoś, komu się wydaje, że wszystko znajduje swój kres tutaj (wydaje mu się, gdyż zdecydowane twierdzenie w tym względzie nie może opierać się na faktach), znajdzie pustkę, nicłość, niebyt. *Dla niego* śmierć oznacza koniec. Miał rację, ale tylko w tej mierze, w jakiej mówił o sobie. Wszyscy inni odnajdują nowy sposób istnienia – zubożony, tymczasowy, ale jednak nowy.

Dlatego Jezus mówi, że przyszedł ocalić ludzi, zbawić ich. Ci, którzy w Niego wierzą, zaznają po śmierci losu lepszego niż ci, którzy praktykowali jedynie nabożność i obrzędowość starotestamentową. Jezus rzeczywiście ratuje ludzi, objawiając im eschatologię wysokiej próby. Dobry chrześcijanin, umierający z myślą i wiedzą o tej niebieskiej chwale, napotka chwałę itd. Dlaczego Jezus mówi, że ci, którzy w Niego nie wierzą, nie będą żyć po śmierci, lecz zginą? W rzeczy samej ateusz czy materialista ma wszelkie szanse, że po drugiej stronie znajdzie zwykłą grę sił. *On sam* będzie już niczym, stopi się z energią kosmiczną. Jako osoba ludzka pójdzie w zatrąę, zginie.

[...]

15 kwietnia

Powróciłem znów do *Isabel*, żeby poprawić i przerobić tekst z myślą o ewentualnych nowych wydaniach. (Ponieważ nie jestem zdolny do żadnej pracy twórczej, postanowiłem dokonać przeglądu moich dawnych książek). Doszedłem do strony 120. Towarzyszy mi ten sam entuzjazm co ubiegłego lata, gdy ponownie przeczytałem całą powieść. Choć niekiedy wprawia mnie w zakłopotanie mój brak talentu literackiego; niektóre rozdziały napisane są językiem przypominającym wszystko, tylko nie rumuńszczyznę. Nigdy nie sądziłem, że *mogę* pisać tak źle: trafiają się zdania całkiem po prostu obce, zwroty zgrzytliwe, niewłaściwe słowa itd. Pamiętam, że latem 1924 bywały dni piekielnego skwaru; pisałem wtedy z wariackim wysiłkiem, każde zdanie wrywałem z siebie kleszczami. Coś takiego zdarzało mi się jeszcze tylko podczas pisania niektórych rozdziałów *Gasnącego światła*. Powieść jest jednak wyjątkowa i rozumiem entuzjazm oraz nienawiść, jakie wywołało jej opublikowanie; dla pewnej grupy czytelników *Isabel* mogłaby stać się najbardziej interesującym moim utworem.

Ponieważ mam godzinę czasu wolnego, a od dawna już chciałem napisać, co sądzę o *Isabel*, zanotuję tu garść uwag i wątpliwości. Przede wszystkim muszę wyznać, że choć *Isabel* zawiera wiele elementów autobiograficznych, główny bohater – „Doktor” – bardzo się ode mnie różni. A co jest prawdą:

życie w pensjonacie pani Axon (pani Perris) i moje podstępne flirty z Verną i Isabel; lekcje pianina i gimnastyki; nerwowe wyczerpanie ze *Snu nocy letniej*; namiętność „Doktora” – będąca również moją – do przygód, podróży, drażnienia się z dziewczętami itd. Do „Doktora” podobny też jestem, co się tyczy okresu dorastania, kiedy to byłem złaźniony „absolutu”, kiedy każdej nocy smagałem się mokrym powrozem po plecach, żeby oczyścić własne sny; kiedy sądziłem, że punktem oparcia życia jest *wola*. Nie jestem podobny w następujących cechach: nigdy nie wierzyłem w Diabła, nigdy nie miałem obsesji grzechu ani świadomości zła; byłem i jestem amoralny w sprawach erotycznych; wszystkie moje próby ascetyczne z lat 1923–1925 i późniejszych miały na celu wyłącznie sprawdzenie woli; byłem i pozostałem człowiekiem zmysłowym, „Doktor” zaś chełpi się tym, że nim nie jest, dodając, że interesuje go tylko doświadczenie duchowe; nigdy nie miałem poczucia duchowej czy cielesnej bezpłodności. Przeciwnie, wnet po „wylansowaniu” mnie w „Cuvântul”, w 1925–1926, uświadomiłem sobie, że mogę tworzyć w jakimkolwiek gatunku literackim; mit „zwątpienia po zwycięstwie” jest wymysłem.

Książka wydaje mi się tym bardziej interesująca, że materiał, miejscami autobiograficzny, został wykorzystany do stworzenia postaci wyjątkowej, która tylko przypadkowo mnie przypomina. „Doktora”, podobnie jak Manuela ze *Światła*, wykreowałem w czasie, gdy w mojej duszy magia zmagiała się z pragnieniem autentycznego przeżycia religijnego. Manuel to *par excellence* adept magii, „Doktora” zajmuje również problematyka religijna. Ja nie znałem żadnego żywego doświadczenia religijnego, a przecież miałem obsesję świętości, byłem oswojony z terminologią, strukturami i troskami mistyki – toteż moja wewnętrzna tragedia była wówczas, i pozostała, jakąś dziwną hybrydą duchową: z jednej strony żywiłem przekonanie o realności przeżycia religijnego, z drugiej – nie byłem zdolny go zaznać, jako ktoś wyzuty z poczucia grzechu i dionizyjski pod każdym względem. Jedyną rzeczą, która konkretnie przybliżała mnie do strefy religijnej, była melancholia. Prawdopodobnie potrzeba uświadomienia sobie grzechu popchnęła mnie w *Isabel* do opisanie sceny homoseksualnej. Sceny, której, choć bardzo mnie dręczy, nie potrafię zrozumieć. (Mam nadzieję, że nikt nie powątpiewa o mojej odwadze; gdybym czuł bodaj najsłabsze ciągoty homoseksualne, wyznałbym je w *Dzienniku*). Że jednak potrzebny był „grzech” krzyczący o pomstę do nieba, wymyśliłem go i przypisałem Tomowi.

Jeden drobiazg mnie niepokoi: akcent, jaki kładę na bezpłodność, niemoc. Są to bez wątpienia echa wykładów Nae i dyskusji z Sandu Tudorem oraz z Mirceą Vulcănescu, zastanawiałem się jednak, czy mojej (powieściowej) odmowy kochania się z Isabel nie można by wyinterpretować psychoanalitycznie obsesją impotencji. Ponieważ nigdy tej obsesji nie miałem, zadaję sobie pytanie, skąd mimo wszystko to odrzucenie dziewczyny, która nam się ofiaruje, połączone – gwoili większej komplikacji – z sadystyczną rozkoszą patrzenia, jak bierze ją ktoś inny.

Być może również inni zadawali sobie to samo pytanie. Przypominam sobie, jak Sorana, po moich całodniowych chwackich wyczynach w górskiej chacie, w Poiana Braşovului, kiedy to posiadałem ją dziesięć razy, wyznała mi, że zaskoczył ją mój wigor, bo po lekturze *Isabel* uważała mnie niemal za impotentą. Przestraszona jednak moją krzepą zwierzyła się Lily Popovici, która w jej przekonaniu miała bogatsze doświadczenia z mężczyznami. Lily powiedziała jej, że gdyby mnie nie znała, sądziłaby, że biorę jakieś narkotyki, pigułki itp. Najzabawniejsze jest to, że ja nawet nie zdawałem sobie sprawy, jak w rzeczywistości jestem „dobry”. Wydawało mi się, że każdy mężczyzna, jeśli kobieta mu się podoba i jest wypoczęty, może ją brać dziesięć razy! Później zrozumiałem, że jest to dość rzadki przywilej.

Problemem potencji czy też impotencji nigdy się nie troskałem. W takim razie skąd się wzięły wszystkie te podejrzone szczegóły? Jeśli idzie o „motyw poronienia”, zauważam go w *Powrocie z raju* i w *Weselu w niebie*; korespondują z nim moja odmowa – wówczas, gdy miałem dwadzieścia sześć i trzydzieści lat – posiadania dzieci, a także przeżycia z lata 1932. Czyżby odmowa z *Isabel* miała strukturalne oparcie w tym samym kompleksie psychicznym?

Bohater woli mieć cudze dziecko tylko dlatego, że pryncypialnie odrzuca możliwość kontynuacji samego *siebie* na ziemi?

W każdym razie moja rzeczywista odmowa (w 1932) kosztowała życie Niny. Ja zaś już od 1941 z coraz większą szczerością pragnąłem mieć dzieci. Wiem, że mogłem je mieć, więc cierpię tym bardziej.

Przełożył
Ireneusz Kania